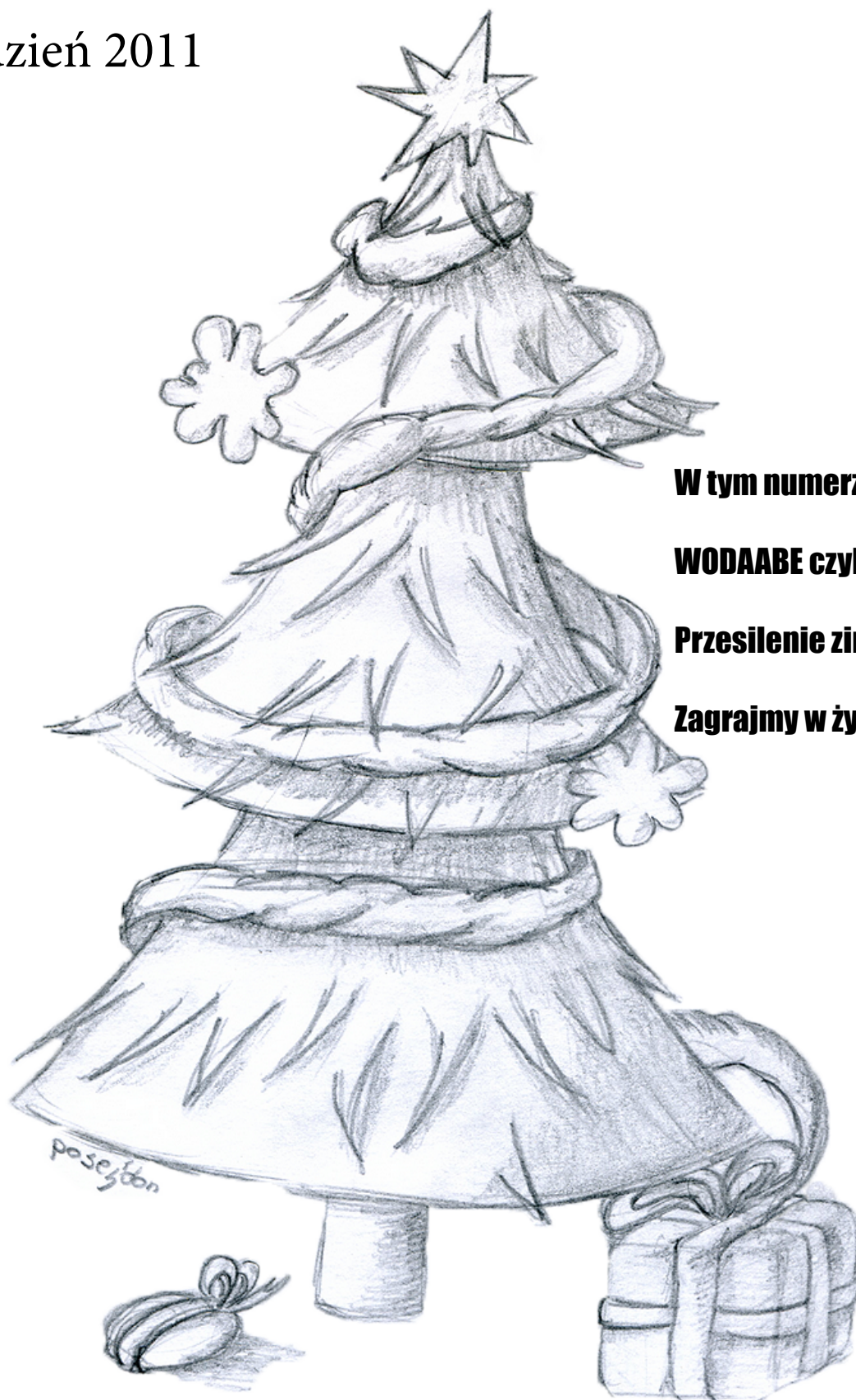


staszic **kurier**

grudzień 2011



W tym numerze:

WODAABE czyli tabu czystości
str. 7

Przesilenie zimowe
str. 9

Zagrajmy w życie
str. 18



Od Naczelnych:

Dam głowę, że nie spodziewaliście się, od czego zaczniemy grudniowy numer SK. Jest to bardzo nietrywialny fakt, godny zauważenia i z pewnością zaskakujący. Mianowicie: idą święta. Redakcja długo pracowała nad uchwyceniem jakiegoś sensacyjnego wątku i właśnie to zrobiła wynosząc na światło dzienne nagą prawdę o najbliższym wydarzeniu. W związku z tym – ku niewątpliwym zaciekawieniu wszystkich czytelników – głównym tematem owego numeru będą właśnie święta Bożego Narodzenia. Jednakowoż wszyscy wiemy, iż owe święta można rozpatrywać na wielu płaszczyznach życia, więc redakcja podjęła się herkulesowego zadania – napisania rozważań na temat Gwiazdki z każdej strony.

W swoim felietonie Basia słusznie zauważa upadek polskich obyczajów i surowo go krytykuje. Zahacza przy okazji o temat przeżywania świąt w naszym kraju, które ostatnio, w czasie powszechnej komercjalizacji wszystkiego, co się rusza, staje się bardzo ubogie. Znajdziecie ją jak zwykle na stronie 4.

Małe co nieco poświęcone dacie Bożego Narodzenia znajdziecie na stronie 10 – Olek opisał specjalnie dla was wiele kontrowersji z nią związanych. Z kolei na końcu naszego wydania zamieścił krótką poradę – pomoże ona w uniknięciu problemów przy wigilijnym stole.

Kuba na stronie 5 opisuje bardzo ciekawy, mandarynkowy aspekt świąt, z którego pewnie niewielu z was, drodzy czytelnicy, zdaje sobie sprawę. A warto.

Zapewne większość z nas święta obchodzi praktycznie od zawsze – czyli od urodzenia. Zastanawialiście się może, czy przed nadejściem chrześcijaństwa nasi przodkowie coś w tym czasie świętowali? Nie? Zajrzyjcie więc na stronę 9 – znajdziecie tam egzotyczny artykuł na temat pogańskich świąt związanych z przesileniem zimowym. Autorka tekstu chodzi do warszawskiego XXXIII LO Dwujęzycznego im. Kopernika, mamy więc zaszczyt zamieścić w SK artykuł nie napisany przez ucznia Staszica. Jak widzicie, wasz ulubiony miesięcznik rozrasta się!

Nie wszystkie teksty związane są jednak ze świętami. W tym numerze Igor napisał o abstrakcji – więcej słów tu nie potrzeba. Na stronie 8 znajdziecie fraszkę, z którego możemy się dowiedzieć, kim tak naprawdę jesteśmy, a kilka kartek dalej (str. 16) możecie zobaczyć drugą część polemiki Kmicica ze Zwolinem – pierwsza ukazała się miesiąc temu, a w styczniu możecie oczekiwać ostatniej.

W listopadowym wydaniu Staszic Kuriera mogliście przeczytać artykuł Mateusza poświęcony japońskim krótkim formom poetyckim, czyli haiku. Ogłosił on konkurs, który niniejszym został rozstrzygnięty! Nagrodzonymi pracami będziecie się mogli delectować, gdy tylko przewrócicie kilka kartek i zajrzyście na stronę 6.

Jeżeli masz ciekawe pomysły, lubisz pisać, rysować lub po prostu masz jakieś hobby czy rozległą wiedzę z jakiejś dziedziny i chciałbyś się nią podzielić – pisz do nas! Czekamy na Was wszystkich, bo Staszic Kuriera tworzy i tworzyć będzie cała społeczność XIV LO!

Piszcie na kurier@staszic.waw.pl

Spis treści

O straszonym świącie	4
Paradoks mandarynki	5
Zakończyci się konkurs na haiku!	6
WODA ABE czyli tabu czystości	7
Wierszem pisanie...	8
Przesilenie zimowe	9
Narodzenie Mesjasza, czy tylko przesilenie zimowe?	12
Rzecz o utamku o poziomach abstrakcji	
o całosci o uiczym zgola	14
Dzieje narodu polskiego	16
Polemika Kmicica ze Zwolinem część druga	
Zagrajmy o życie	18
Przy stole	19
Sm ^Q	20

ZAPRASZAMY!

kurier.staszic.waw.pl

staszic kurier
on-line

0 strasznym świecie

Jadę sobie pociągiem, jestem zmęczona i marzę o ciepłym domu. Siedzę. Tak, w pociągach graniczy to z cudem. Już chcę się odprężyć, ale moim oczom ukazuje się reklama. Wisi naprzeciwko mnie i prześladuje do końca podróży. Reklama jakiejś książki, horroru. Treść sloganu głosi: „morderstwo jak z bajki”. Moje oczy przeżywają szok. Co?! Myślę o dzieciach. O dzieciństwie, o bajkach. W bajkach nie ma morderstw. Dobrze – polemizujecie ze mną, lecz ja jestem uparta. Bajka. Bajka kojarzy się z czymś dobrym, przyjemnym. Powinna być dla dzieci nauką. Ta reklama zmusiła mnie do zastanowienia się nad tym, jak bardzo dzisiejszy świat atakuje dzieci (i nie tylko dzieci, bo każdego z nas).

Po pierwsze – reklamy. Wszędzie reklamy! I może nie byłoby w tym nic złego, ale duża ilość reklam emanuje wręcz seksem. O tak. Wszędzie, wszędzie roznegliżowane kobiety! Nawet na reklamie kanapek obowiązuje dekolt do pasa i push-up. Centra handlowe również reklamują się za pomocą „ładnych pań”. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wyzywające pozy i ubiór. Ludzie, którzy tworzą te reklamy są świadomi tego, co robią, i efektu, jaki osiągają. Wiedzą więc, że poruszają one wyobraźnię mężczyzn (także żonatych, niestety). Często taki pan nie zapamięta co reklamowała „pani z bilboardu”, lecz samą panią. To powszednie, dzieci są lekko zdezorientowane, a czasem można z ich ust usłyszeć nieprzyzwoite komentarze. One są nie do końca świadome tego, co mówią i myślą, że brzmi to dorośle. Niestety, tak nie jest. To niszczy psychikę dzieci, potem dziewczynki ubierają się nieskromnie i nie widzą w tym nic złego. Nie wiedzą, że kuszą mężczyzn.

Druga sprawa, którą chcę poruszyć to technologia. Mp3, iPody, komórki. Teraz te rzeczy dostaje się na komunię. I po co? Jak ja miałam 8

lat, to łąziłam po drzewach, jeździłam na rowerze, wiedziałam dokąd wolno mi chodzić, a dokąd nie. Słuchałam się, bo nie widziałam sensu, by tego nie robić. Wiedziałam o której wrócić, bo na komunię dostałam zegarek. Zwykły, wskazówkowy. Byłam szczęśliwa. Teraz dzieci grają na konsolach, szpanują komórkami i wszystkim, czym tylko można. Myślą, że są lepsze, ale się mylą. Co gorsza, te dzieci, które tego wszystkiego nie mają, myślą, że są gorsze. A to nieprawda! To okropne. Już w wieku 8 lat trzeba starać się o pozycję w społeczeństwie. Już w wieku 8 lat wyłamuje się grupka „bogaty”. Czują się lepsi, a lepsi nie są. W dodatku rodzice wcale ich od tego nie odwodzą. To okropne, by już w słodkim dzieciństwie martwić się o rzeczy materialne. Dzieci nie są jeszcze tak mądre, by wiedzieć, że w tym wieku nie ma to żadnego znaczenia i należy się bawić. Jest im po prostu smutno.

Ostatnio jadąc windą spotkałam chłopca, który grał na konsoli w jakąś grę. W ogóle mnie nie zauważył, tak się wciągnął. Byłam ciekawa co go tak pochłonęło, więc zerknęłam na mały ekranik. Prawie natychmiast odwróciłam wzrok. Wielka głowa diabła, z którego uszu wylewała się lawa pożerała maleńkiego wojownika. To było okropne i wydawało strasznie dźwięki. Byłam w szoku. To dziecko miało z 7 lat. Jak zachwiana musiała być jego wrażliwość, by takie rzeczy nie robiły na nim wrażenia. To pokazało mi, że u dzieci ta wrażliwość zanika. Poprzez oglądanie strasznych bajek, filmów dla dorosłych (bo przecież rodzic musi obejrzeć film, a nie chce mu się dziecka spać położyć) i granie w takie gry (nie wspomnę już o strzelaninkach, a pewnie i w tej chodziło o zabicie kogoś). Dlaczego ten świat jest taki agresywny, a nie dość, że on jest, to jeszcze stwarza agresywne i pełne przemocy wirtualne światy. Po co? I dlaczego?



Przechodząc do sedna, bo zaraz Święta! Czy ktoś jeszcze wierzy w Świętego Mikołaja?! To strasznie przykre, że niektóre dzieci mając 5 lat już wiedzą, że to mamusia kupuje im prezenty. Dla mnie Święta były zawsze magiczne. Magiczne były opowieści mamy o poruszających się zasłonkach i Mikołaju, który zostawiał prezenty, o pierwszej gwiazdce spełniającej życzenia. To było piękne i naprawdę tęsknię za tymi czasami. A teraz panuje wszechobecne cwaniactwo. Widzę to nawet u mnie w rodzinie, podczas gdy starsze dzieci mówią młodszym, że nie ma Mikołaja. Myślą, że „są fajne”, bo wiedzą prawdę. Kłamstwo! Niszczą wszystko i całą magię, lecz są za małe by to wiedzieć. To takie strasznie trudne. Ostatnio w moim domu zagościła matka z dziećmi. Kiedy zapytaliśmy się ich jaki list napisali do Mikołaja, ona odpowiedziała, że u nich nie ma Mikołaja. W ogóle?! To przecież straszne. Jak cudowne było pisanie listu, czytanie książek o mikołajkach, które list zabierały i dostarczały Mikołajowi, wyobrażanie sobie jak to wszystko funkcjonuje – ta cała fabryka zabawek. To właśnie magia świąt i dzieciństwo. Dlaczego teraz się to tak brutalnie dzieciom odbiera?: (

Wiem, że cała rzesza matek i innych mądrych naszej szkoły może się ze mną nie zgadzać. Że to nic nie wnosi i jest niepotrzebne, i po co okłamywać dzieci? Dla mnie to było piękne przeżycie i nie oddałabym go za nic, i jestem wdzięczna, że mogłam mieć dzieciństwo jakie miałam. I uważam, że to potrzebne i potrzebna jest wrażliwość. Pamiętajcie – wszędzie są dzieci i wszędzie my jesteśmy, i to nie jest tak, że świat nas nie atakuje. Atakuje, więc uważajmy.

Wesołych Świąt!

LeB

Paradoks mandarynki

*Idą święta, idą święta,
W rzeźni kwiczą już zwierzęta.
Bombki wiszą na choince,
Wszyscy w domu zjemy szynkę.*
Big Cyc „Idą święta”

Święta Bożego Narodzenia coraz bliżej. Mówi się, że jest to czas powszechnej dobroci, że ludzie w grudniu stają się lepsi. Zaczynają pomagać sobie nawzajem, ich wrażliwość rośnie. Wszyscy dają sobie prezenty – obdarowujemy nie tylko najbliższych, ale również zupełnie nieznajome osoby. W tym miejscu pojawia się pozornie



banalne pytanie: czy trudniej jest dać podarunek, czy go przyjąć? Większość z was, drodzy Czytelnicy, z pewnością stwierdzi, że przyjmowanie darów jest dużo łatwiejsze, że nie sprawia żadnego problemu.

Wyobraźmy sobie teraz następującą sytuację. Jest wieczór, sobota, niedługo święta. Samemu lub z grupką znajomych idziesz jedną z warszawskich ulic, być może w ścisłym centrum. Zmierzasz do pewnego z góry ustalonego celu, sam spacer się nie liczy, liczy się

to, dokąd idziesz. Mijasz ludzi, którzy robią dokładnie to samo, nie zwracasz na nich uwagi. Oni nie zwracają uwagi na ciebie. Gwar, tłok, pośpiech. Wielu z nich kupuje prezenty – przecież niedługo Boże Narodzenie.

Nagle coś się zmienia, ktoś zachowuje się nie do końca tak, jak według ciebie powinien. Zaburza twoją równowagę wewnętrzną. Podchodzi do ciebie kilku młodych ludzi. W wyciągniętych rękach trzymają mandarynki. Jeden z nich mówi: „Może mandarynkę? Dziś 10 grudnia!”. Co robisz?

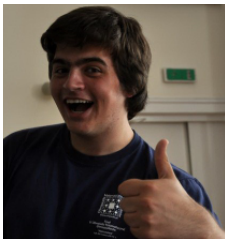
Bierzesz mandarynkę, uśmie-

namówić cię na badania szyjki macicy czy prostaty. Nieważne, nie masz czasu brać w niej udziału. To nie akcja charytatywna? Te mandarynki muszą być zatrute! Nie są? W takim razie – o co chodzi, do jasnej ciasnej?! I dlaczego właściwie 10 grudnia? Co to, Dzień Denerwowania Ludzi?

Być może teraz, drogi Czytelniku, siedząc w fotelu/na krześle/na parapecie, wydaje ci się, że zareagowałbyś zupełnie inaczej. Być może wziąłbyś tę mandarynkę. Być może nawet przyłączyłbyś się do rozdających je osób. W tym momencie masz czas, aby tę sytuację przeanalizować, rozważyć za i przeciw. W chwili, kiedy idziesz ulicą, wszystko dzieje się za szybko. Nie masz czasu na myślenie nad czymś niecodziennym, nietypowym, więc reagujesz instynktownie. Uciekasz.

Nasze społeczeństwo jest nieufne. Każdy nieznajomy to potencjalny gwałcień, morderca lub złodziej. Jeśli ktoś zaczepia innych – ma złe zamiary. Chce wykorzystać, omamić, zmusić do kupienia takiego czy innego produktu. Wszak od dzieciństwa rodzice powtarzali nam: „Nie bierz niczego od nieznajomych!” Bali się o nas, sądzili, że tak będzie najlepiej. Chcieli nas ochronić przed złym i spaczonym światem. Mieli poniekąd rację, nie wiedzieli jednak jednego: to zło i spaczenie polega na czymś troszeczkę innym.

Zdarzyło ci się kiedyś, drogi Czytelniku, zostać całkowicie bezinteresownie obdarowanym przez osobę kompletnie ci nieznana? Z przypadku? Na ulicy? Wątpię. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają, nawet w okresie przedświątecznym. Tymczasem codziennie docierają do naszych oczu i uszu informacje o tym, że ktoś kogoś zabił, okradł, oszukał, zgwałcił w lesie i zostawił wilkom na pożarcie. Dochodzą nas poprzez telewizję wieści o tym, że gdzieś był pożar, że zginęło mnóstwo ludzi, że politycy kłamią, że ktoś zaginął lub został porwany. Jeśli śnieg pada – mówi się o stratach. Jeśli śnieg ►



JAKUB MROZEK

► nie pada – mówi się o stratach¹. Nic więc dziwnego, że ludzie spotkali na ulicy są nieufni wobec nieznamymych.

Czy musi tak być? Czy musimy tak traktować się nawzajem? Uświadom sobie, Czytelniku, że tak naprawdę zdecydowana większość Polaków to dobrzy ludzie, którzy nie mają złych zamiarów. Nie wierz telewizji, otwórz się na innych – uczynisz świat lepszym miejscem.

W sobotę 10 grudnia postanowiliśmy ze znajomymi zorganizować taki happening. Spotkaliśmy się pod Pałacem Kultury z torbami pełnymi mandarynek. Oprócz mnie byli tam jeszcze Kuba i Zosia. Z uśmiechem na ustach poczęliśmy rozdawać je ludziom, niestety, tak jak już pisałem, mało kto chciał je od nas brać. Zauważyliśmy jednak, że nam samym ta zabawa sprawia nieziemską wręcz frajdę! Każda osoba, która przyjęła podarunek, sprawiała, że robiło nam się dużo cieplej na sercach.

Bez wyjątku i sprzeciwu mandarynki przyjmowali ludzie zbierający pieniądze – czy wykonawcy spotkań na Patelni, czy bezdomni. Sprzeciwu nie wyrażali również rozdający ulotki, kiedy wymienialiśmy się z nimi na mandarynkę. Naprawdę bardzo rzadko w porównaniu do innych pomarańczowy owoc brali ludzie starsi lub elegancko ubrani.

Przeszliśmy się mandarynkowym spacerem ulicą Marszałkowską

od Patelni do ulicy Królewskiej, którą wykorzystaliśmy, aby przedostać się na Krakowskie Przedmieście. Następnie wróciliśmy na Patelnię Nowym Światem i Alejami Jerozolimskimi. Ręce z mandarynkami wyciągaliśmy w stronę każdej napotkanej na tej trasie osoby: wszelakich hipsterów, wieczornych biegaczy, ludzi robiących zakupy, wybierających się do kina.

Co ciekawe, kiedy podawaliśmy jakikolwiek motyw naszego działania, nieznanymi częściej przyjmowali prezent. Mówiliśmy na przykład, że rozdajemy je z okazji 10 grudnia. Nie ma to wiele sensu, ale w wielu przypadkach działało. Czasami dodawaliśmy coś o Światowym Dniu Mandarynki, nie zważając na to, że podobne święto nie istnieje. Ludzie potrzebowali po prostu jakiegokolwiek usprawiedliwienia, powodu tej akcji. Tymczasem miała ona służyć głównie dobrej zabawie. Parę osób pytało się nas, czy owoce są zatrute. Po odpowiedzi przeczącej uznali, że nie ma dalszych przeciwwskazań do poczęstowania się.

Kilka reakcji szczególnie nas rozbawiło lub wzruszyło. Oto one:

- „O, tak! Do flaszki jak znalazł! Dziękci!”
- „Może mandarynkę? ” „Spie**alaj”
- „Może mandarynkę? ” „Co? Co? Co? Nie!”
- „Dzisiaj 10 grudnia! ” „Ja nie obchodzę tego święta.”
- „Dzięki, nie jadłem trzy dni...”
- „Ja bezdomny jestem, dajcie, mi się na-

leży!”

- „Podziękować jakoś trzeba, nie? Chcicie fajkę?”
- „Może mandarynkę? ” „Dziękuję bardzo, mam już dwie.”
- „Nie mam pieniędzy.”

Trudność, jaką sprawiało nam rozdanie tych mandarynek, można jednakże wykorzystać, choćby organizując takie szkolenie dla początkujących sprzedawców. Nauczyło by to ich nie zniechęcania się, gdy potencjalny klient odmawia. Wszak mimo wszystko łatwiej jest dać coś komuś za darmo niż mu to sprzedać.

Kiedy rozdawaliśmy owoce rok i dwa lata temu, jeden z nas był ubrany w strój św. Mikołaja. Wtedy szło nam to zdecydowanie łatwiej. Postać ta kojarzy się bowiem jednoznacznie z daniem czegoś za darmo, dzięki czemu unikaliśmy niepotrzebnych nieporozumień. Tym razem nie zdarzyło nam się jednak to, co w latach ubiegłych, kiedy to niektórzy ludzie uznali za świetną zabawę rzucanie w nas tym, co przed chwilą otrzymali. Widoku pomarańczy w kawałkach leżącej na asfalcie nie zapomnę nigdy.

Ta akcja w trzy osoby była fajna, ale w przyszłym roku może być jeszcze fajniejsza! Jeśli chcesz przeżyć coś podobnego, zgłoś się do mnie na końcu listopada przyszłego roku. Na pewno będziemy organizować ten happening raz jeszcze.

¹ Tak, ostatnio widziałem w Faktach TVN reportaż o tym, kto traci pieniądze z powodu tzw. „pięknej jesieni tej zimy”. Firmy odśnieżające, stoki narciarskie, zakłady wulkanizacyjne – ludzie nie wymieniają opon na zimowe. Wniosek jest prosty: gdyby spadł śnieg, pobudziłby był gospodarkę! Każdemu, kto wierzy w podobne brednie, polecam film pt. „Mit zbitej szyby”. Można go znaleźć na wykop.pl

Zakończył się konkurs na haiku!

Oto prace zwycięzców:

Karolina Teleon

*Obłoki z waty
zaplątały się w sosnach
znieruchomiały*

*Łabędź się zrywa
dosłyszeć własny dramat
w szumie odlotu*

*Słońce przez chmury
niewiele blasku we mnie
więcej w jeziorze*

Zofia Żółtek

*Podnoszę głowę
Pierwszy nietoperz błysnął
Mi zamiast gwiazdy*

*Dziś bardzo wieje
Spienione gałęzie drzew
Pożarły niebo*

*Ten sztuczny uśmiech
Zeschłe szyszki pękają
Kiedy je depczę*

*Czarny horyzont
Jasne podarte chmury
Ciągną przez miasto*

Obie autorki proszone są o zgłoszenie się do Mateusza Dziurzyńskiego (2a) w celu odebrania nagrody – ciastka.

WODAABE czyli tabu czystości

Czasami siedząc jesienią w klasie, patrząc za okno na szarobure (bardziej lub mniej) niebo, myślę sobie o takim, nazwijmy to, „innym świecie”. Jako marzycielka z natury, widzę przed oczami siebie w gotyckich świątyniach, albo naprzeciw Wodospadów Wiktorii w południowej Afryce. Innym razem – gorąca pustynia bądź busz, wędrówka zamiast szkoły, egzotyczna, jak dla nas, kultura. Często widzę wtedy oczyma wyobraźni Wodaabe.

Pewnie teraz zastanawiacie się czym jest owo tajemnicze Wodaabe. Ciężko na to pytanie odpowiedzieć jednym zdaniem, jednak jeśli kiedyś podróżując po świecie napotkalibyście ludzi wędrujących w skwarze wzdłuż południowej granicy Sahary, ubranych w długie, zwiewne tuniki, wiedźcie, że to mogą być oni.

Wodaabe jest nietypowym, pod wieloma względami ciekawym, plemieniem Afrykańskim. Jak inne plemiona należące do grupy etnicznej Fulbe (grupa zamieszkująca tereny zachodniej Afryki, koczownicy) wyznają islam, jednak jest to wiara bardzo powierzchowna – powodem, dla którego przyjęli tę wiarę jest raczej pragnienie świętego spokoju, niż jakiegokolwiek głębokie aspekty moralne. W ich środowisku nie spotyka się raczej aranżowanych małżeństw, w związkach damsko – męskich ważna jest zgoda obu stron. Ewentualne rozstanie po ślubie nie jest tępione. Nie jest tam również powszechne bardzo cnotliwe podejście do życia. Zdarza się, że chłopak z płamienia dyskretnie mruga do dziewczyny – oznacza to, że wpadła mu w oko. Jeżeli wybranka nie odwraca wzroku, to znaczy, że odwzajemnia zainteresowanie. Innym razem zdarza się też, że chłopak niezauważenie pociera wnętrze dłoni dziewczyny, albo ta dotyka go stopą. Takie flirtu u Wodaabe zazwyczaj nie kończą się na patrzeniu sobie w oczy... Od kobiet, które jeszcze

nie mają małżonka, nikt nie wymaga życia w czystości.

Dla tego ludu tradycja jest ważniejsza od religii – spośród plemion z ich grupy etnicznej, są do niej najbardziej przywiązani, a czują niechęć do rolnictwa, miast, osiadłego trybu życia. Ich tradycja jest oczywiście zupełnie różna od naszej. U nas mówi się np., że nie szata zdobi człowieka, u Wo-



daabe to wygląd zewnętrzny decyduje o człowieku. Nawet słowo, którym w ich języku opisują piękno – wodi, jest bardzo podobne do słowa „być” – woodi, w czym może nie należy szukać głębokiej ideologii, ale co jednak dobrze oddaje ich podejście do cech zewnętrznych człowieka. W ich kulturze kanon piękna jest dosyć dokładnie określony – ważne są białe zęby i białka oczu (te drugie świadczyć mają o zdrowiu), długi, smukły nos, symetryczna twarz.

Dla rodziców bardzo ważne jest wychować piękne dziecko. Gdy mężczyzna nie jest dostatecznie piękny, często musi dzielić żonę z innym, piękniejszym od niego – wtedy rośnie prawdopodobieństwo spłodzenia „pięknego

potomka”.

Co ciekawe, mimo że tak dbają o wygląd zewnętrzny, a ich nazwa, czyli Wodaabe, oznacza „Tabu czystości”, przez sąsiadów są nazywani Bororo, co oznacza „Zaniebani Pasterze”.

Z kultem piękna obecnym w tym plemieniu wiąże się coroczny konkurs piękności. Odbyna się on wraz z corocznym festiwalem La Cure Salee, trwającym około tygodnia na jesieni. Ma on miejsce w północno – wschodnim Nigrze i jest jednym z najważniejszych festiwali w zachodniej Afryce. Jest swego rodzaju złotem nomadów, gdzie możemy zobaczyć wiele plemion – tamtejsi ludzie spotykają tam np. swych przyjaciół lub szukają kandydatki na żonę (ew. męża). Gerewol (konkurs piękności, święto Wodaabe) jest swego rodzaju punktem kulminacyjnym tych obchodów. To barwne święto przyciąga nie tylko ludzi z Afryki, ale i wielu ciekawych świata Europejczyków. Możemy na nim zobaczyć jak wielu mężczyzn przyodzianych w wymyślne stroje i obwieszonych jak najbardziej oryginalną biżuterią, z twarzami pomalowanymi na żółto, tańczy w pełnym słońcu, nadyma policzki, pokazuje lśniące zęby, staje na palcach i przewraca oczami. Dla nich to święto jest bardzo ważne – żółty barwnik zdobywają w trudach, muszą iść po niego do centralnego Nigru, to jest ok. 700 km. By okazać się najlepszym, wielu ucieka się do dopingu pijąc przed konkursem wyciąg z kory tamtejszych drzew (nieraz można w czasie festiwalu zobaczyć mężczyzn tańczących nawet nocą). Używają również amuletów, by obronić się przed czarami konkurentów. Mężczyźni tańczą kolejno ruume, borno i yaake (jest to główny taniec festiwalu, chociaż nie ostatni), wielu z nich odpadnie z rywalizacji. Potem przychodzi czas na ostatni taniec, od którego nazwy pochodzi nazwa całego święta, taniec gerewol. Mężczyźni ►



DOROTA WIŚNIEWSKA

► zmywają żółty makijaż, by zastąpić go czerwonym – makijaż nie może być banalny – zawsze poza żółtym lub czerwonym, używane są też inne barwniki, na twarzach mężczyzn pojawiają się również czarne i białe elementy makijażu. Tańczą dalej. W skład jury wchodzi trzy piękne, młode kobiety, nie są tak wystrojone jak mężczyźni, aczkolwiek znacznie bardziej niż na co dzień, kiedy to nie mają okazji zabłysnąć. Każda kobieta na Gerewol dokładnie przygotowuje swój strój – bardzo ważne są tu kolczyki, które są nieodłącznym elementem kobiecości. Jury obserwuje tańczących uważnie i w ciszy, jednak pozostali współplemieńcy nie szczędzą komentarzy, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych, głośno dopingując tańczących. Gdy zbliża się koniec tańca, jury dyskretnie zbliża się do wybranego przez nie zwycięzcy, a przewodnicząca wskazuje go ruchem ramienia.

Chociaż zwycięzca jest tylko jeden, wiele kobiet na festiwalu rozgląda się, szukając męża. Jeżeli znajdzie takiego, który zaakceptuje jej propozycję, daje on jej rodzicom tykwę mleka. Jeżeli oni

zaakceptują związek, mężczyzna płaci za zorganizowanie ślubu (oczywiście nie pieniędzmi, a tak cennym dla tamtejszych ludów bydłem). Zwróćmy uwagę, że płaci się za organizację uroczystości, a nie za kobietę!

Ciekawe jest też życie Wodaabe w pozostałą część roku. Jest ono w dużej mierze podporządkowane ich rogatemu bydłu o nazwie zebu (myślę, że można je nazwać odpowiednikiem naszej krowy), ze względu na nie po porze deszczowej, kiedy można znaleźć dużo pożywienia dla bydła, lud ten podróżuje w jego poszukiwaniu. Oni sami, jak przystało na pasterzy, żywią się głównie mlekiem i przetworami mlecznymi, takimi jak masło i sery. Produkty zwierzęce wymieniają na zboże u rolników. Zboże to po wymieszaniu z mlekiem daje ich podstawowe pożywienie – rodzaj zupy mlecznej. Nie jedzą prawie w ogóle mięsa – jako lud pasterski nie polują, a nie ubijają tak cennego dla siebie bydła. Tylko na specjalne okazje podawane jest nam mięso. Na co dzień kobiety zajmują się produkcją przetworów mlecznych, szyciem ubrań i opieką nad dziećmi,

a mężczyźni planują wędrówki, odpowiadają za wypas bydła i politykę.

Nie mają jednego wodza, ani struktury hierarchicznej. Mają co prawda radę starszych – Ardo, jednak nie sprawuje ona w żaden sposób władzy – może jedynie udzielać rad, mają jednak spory autorytet. W plemieniu nie panuje jednak zupełne bezprawie, istnieje bowiem kodeks pulaake – jego dokładne wypełnianie to sumienny obowiązek, a jednym z jego ważniejszych punktów jest gościnność. Wiele plemion Fulani przejęły kodeks islamu, często też zmieniły one tryb życia na osiadły, tak znienawidzony i odrzucany przez Wodaabe.

Niestety tak wiele plemion gubi swoją dawną, tak ciekawą kulturę, pod wpływem nowoczesnej cywilizacji, która dociera nawet do Afryki. Nawet tak broniący się przed tym Wodaabe prawdopodobnie tracą chociaż część tradycji. Wojny toczące się w Afryce i panujący tam głód bez wątpienia utrudniają im zarówno codzienne życie, jak i obchody świąt, jak i np. Geriwoli. Miejmy jednak nadzieję, że jak najwięcej z tej kultury ocaleje.

Przesilenie zimowe

Kiedy Dionizjusz Mały około 523–536 roku naszej ery (no właśnie...) wyznaczył datę narodzin Chrystusa na 25 grudnia 753 roku po założeniu Rzymu, z pewnością nie dysponował takimi środkami, z jakich korzystają dzisiaj historycy, można więc wybaczyć mu pomyłkę o 4–6 lat. O ile ten jego błąd został już wykryty i mniej więcej poprawiony, o tyle data dzienna pozostaje zagadką do tej pory.

Data 25 grudnia została wyznaczona na podstawie tradycji żydowskiej, według której świat został stworzony 25 marca, w dzień równonocy wiosennej. W rocznicę tego zdarzenia, zdaniem Hipolita Rzymskiego, został poczęty Jezus z Nazaretu. Uważa się, że ta data została przywłaszczona od Rzymian i ich obchodów święta ku czci boga Sol Invictus. Warto jednak zauważyć, że początek święta Sol Invictus to 274 rok (i cesarz Lucjusz Domicjusz Aurelian) i istotnie, zostało ono później zastąpione Bożym Narodzeniem bez zmiany daty, jednak Hipolit podał datę 25 grudnia już około 202–211r. Mimo tego, powszechnie wierzono, że Jezus urodził się wiosną (co wiąże się z biblijnym zapisem o doglądaniu owiec przez pasterzy) bądź w styczniu, do roku 354, kiedy papież Liberiusz wybrał datę grudniową ze względu na odbywające się w grudniu święta pogańskie związane z przesileniem zimowym. Miało to na celu prawdopodobnie ułatwienie chrystianizacji wyznawców tzw. religii starożytnego Rzymu. Z pewnością okazało się to szczególnie przydatne poganom w roku 392, kiedy wszystkie religie oprócz chrześcijańskiej przestały być w Rzymie legalne.

Zanim jednak ktokolwiek w Rzymie w ogóle pomyślał o Sol Invictus, od 17 do 23 grudnia obchodzono Saturnalia. Saturn to bóg rolnictwa, którego można śmiało powiązać z greckim Kronosem, został on bowiem strącony z tronu przez swojego syna, Jowisza. W tym czasie niewolnicy zyskiwali tymczasową wolność, a nawet na krótki czas odwracano role – byli oni obsługiwani przez swoich panów, na przykład, przy

obiedzie. Oczywiście, bez przesady: te obiady i tak gotował nie kto inny, niż ci niewolnicy i gotowali je także dla swoich panów. Co jednak dla nas bardziej istotne, Rzymianie podczas tych dni wolnych od pracy dawali sobie prezenty, przeważnie własnoręcznie zrobione.

Według niektórych historyków, 25 grudnia w Imperium Rzymskim obchodzono także urodziny boga Mitry. Istotnie, na początku naszej ery w Imperium rozprzestrzenił się kult Mitry (mitraizm), który stanowił podwaliny dla późniejszego kultu Sol Invictus – często utożsamia się tych bogów, ale to bóstwo powstało najpewniej za sprawą wpływów wschodnich: w Indiach czczono Mitrę jako boga przyjaźni i kontraktów, a w Persji został on uznany za bóstwo – być może nawet personifikację – Słońca, choć inna wersja mówi o tym, że Mitra był synem boga Słońce i dziewicy nazywanej „Matką Bożą”. Sama postać Mitry i legendy z nim związane są godne uwagi. Miejscem, które było silnie związane z Mitrą, była grotą. W grotach oddawano mu cześć, ponieważ wierzono, że Mitra urodził się w grocie 25 grudnia, około 272 r. p.n.e., co zostało wcześniej zapowiedziane przez Zaratusztrę. Podczas uroczystości ku jego czci spożywano chleb, symbolizujący mięso zabitego przez niego byka oraz wino, zastępujące krew. Mitra umarł i zmartwychwstał około równonocy wiosennej. Jego nauczanie było niemal identyczne, co późniejsze nauki Jezusa. Liczne polskie strony internetowe i praktycznie ani jedna anglojęzyczna przytaczają legendę, według której na weselu Mitra zamienił wodę w wino po tym, gdy okazało się, że zapas wina nie wystarczy.

Innym świętem, raczej nie wiązanym z tradycjami Bożego Narodzenia, ale w podobnym czasie celebrowanym, były dionizje małe. Nie miały one jednak stałego terminu, często w różnych miejscach odbywały się w różnym czasie. Jednak jednym ze zwyczajów było. Do Rzymu rozprzestrzeniły się jako bachanalia, jednak ich orgiastyczny charakter niewiele ma wspólnego

z późniejszym świętem chrześcijańskim (były jednak silnie związane z przesileniem zimowym). Sam Dionizos nie miał też wiele wspólnego z Jezusem, poza zwyczajem z dionizjów polegający na zmienianiu wody (lub soku) w wino. Mówi się także o jego narodzeniu z dziewicy, ale mit, według którego śmiertelniczka Semele, matka Dionizosa, zaszła w ciążę nie będąc sensu stricto zapłodniona, nie mówi nic o jej dziewictwie.

Zostawmy jednak Jezusa i to, co było przed nim. Samo życie Chrystusa niewiele zmieniło na świecie i przez kolejne wieki Europa była dalej pogańska i wesoła. Teraz zagłębmy się w to, co jest o wiele ciekawsze, czyli obrzędy, które nie tyle wpłynęły na sam fakt obchodzenia Bożego Narodzenia w grudniu, a raczej na jego kształt, wygląd i zwyczaje.

Na razie jednak nie odchodźmy zbyt daleko i zostanmy na południu Europy. Warto zwrócić uwagę na fakt, że kiedy Indoeuropejczycy przybyli na ten kontynent przed kilkoma tysiącami, zastali tu już autochtonów. O wielu z nich wiemy mało lub bardzo mało, jednak do dziś przetrwały narody, które zamieszkiwały te tereny przed napływem ludności ze wschodu. Pierwszy to Baskowie, o których każdy słyszał, a mało kto naprawdę coś wie. Spora część ich tradycji, które wiążą się z religią, nosi wyraźne ślady starożytnej religii Basków. Na przykład, w Wigilię Bożego Narodzenia prezenty przynosi dzieciom Olentzaro, jedyny z rasy olbrzymów (jentillak) zamieszkujących niegdyś góry, którzy odeszli wraz z narodzeniem Chrystusa (bo bardzo nie chcieli się poddać chrystianizacji...). Jedynie Olentzaro zdecydował się przyjąć nową wiarę. Jentilowie zbudowali wiele niezwykle konstrukcji oraz rozrzućli głazy, które były pogańskimi miejscami kultu. Olentzaro wchodzi do domów przez komin. Oprócz tego, że przynosi prezenty, strzeże także tradycji, jest bardzo groźny i może zabijać. Dawniej podczas przesilenia zimowego palono symboliczne polana, które nie pozwalały Olentzaro ►



RACHELA SEMENKO

Wierszem pisane...

Na Staszice

<i>Wąs dziewiczy, blade lice,</i>	<i>Lecz rozrywki są im wstrętne.</i>
<i>Tak, to oni – to Staszice.</i>	<i>Mam wyjść z domu? Po co? Kiedy?</i>
<i>Algorytmy, całki, matma,</i>	<i>Po zadanka już od biedy!</i>
<i>Chemia, fizja dla nich łatwa.</i>	<i>Iść na piwo? Czyś oszalał?</i>
<i>Informatyka? Same szóstki!</i>	<i>Mój intelekt wnet by zmalął!</i>
<i>Dla nich czyste to błahostki.</i>	
<i>Kumple? Życie? O czym mowa?</i>	<i>Takie o nas krążą ploty.</i>
<i>Obce dla nich są to słowa.</i>	<i>My zaś wiemy – to głupoty!</i>
<i>Nos w zeszytach całe lato?</i>	<i>Choć niektórzy, przyznać muszę,</i>
<i>Chętnie zaś przystaną na to.</i>	<i>Nietypowe mają dusze.</i>
	<i>Lecz nie zmienia to nic wcale,</i>
<i>Takie zwykle wśród gawiedzi,</i>	<i>Bo w Staszicu jest wspaniale.</i>
<i>Krążą o nas wypowiedzi.</i>	<i>Ludzie mili, na poziomie,</i>
<i>Że jak Staszic – to już kujon.</i>	<i>W dobrym tu przebywam gronie.</i>
<i>Tak niejednen by to ujął.</i>	<i>Świetnych też przyjaciół widzę.</i>
<i>Jak zadanka – bardzo chętnie!</i>	<i>Tak, to oni – to Staszice!</i>

Luzek

► wejść. Trzeba przyznać, że to spora zmiana.

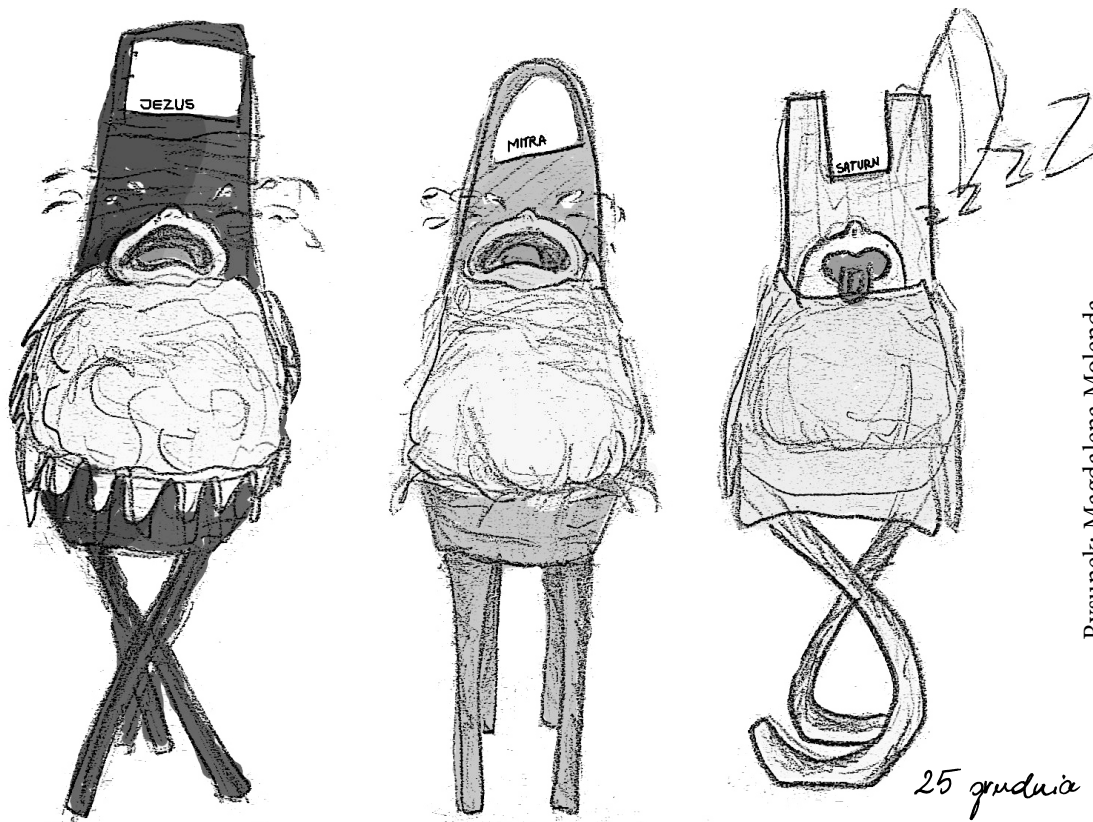
W okolicy Alp chrześcijaństwo weszło, chłonąc zwyczaje, które tam zastało, chyba jeszcze bardziej intensywnie niż gdzie indziej. Tradycje, które dziś można tam spotkać, mają korzenie celtyckie, germańskie, słowiańskie i retyckie. Na przykład, świętemu Mikołajowi towarzyszy demon Krampus (od staro-wysoko-niemieckiego Krampen – szpon), który karze niegrzeczne dzieci, które nie zasłużyły na prezent. Te najgorsze porywa, by w dzień Bożego Narodzenia pożyć je w swojej norze. Inną tradycją są procesje zwane Perchtenlauf, podczas których ludzie przebierają się w stroje z owczych skór za ładne i brzydkie Perchty. Perchta to dawna germańska bogini, utożsamiana czasem z Freją, która, między innymi, panuje nad różnymi złymi stworami. W procesji biorą udział der Teufel czyli schiach Percht (brzydki Percht – forma męska) i Frau Perchta – schön Perchtin (ładna Perchta), a także sporo innych, którymi regiony różnią się między sobą.

Wśród Celtów, ponieważ od tysiącleci byli oni zróżnicowaną grupą, istniały i zachowały się do dziś, różne zwyczaje związane z obchodami przesilenia zimowego, a później Bożego Narodzenia. Jednym z druidycznych obrzędów, nie całkiem potwierdzonym, było Meán Geimhridh (mniej więcej „środek zimy”). Wydarzenie to było, a właściwie jest znów, związane z narodzinami mitycznego bohatera o imieniu Pryderi, syna Rhiannon, postaci wywodzącej się od dawnej celtyckiej bogini Rigantony, związanej również z Eponą, boginią koni. Przesilenie zimowe to jedyny czas w roku, w którym można podziwiać niezwykle świetlne zjawiska w Newgrange, grobie (starszym od Wielkiej Piramidy w Gizie!) zbudowanym tak, że przez około 15 minut Słońce rozświecila komorę grobową. Innym zimowym świętem celtyckim jest Alban Arthan, święto, podczas którego druidzi ścinali jemiolę z dębów złotymi sierpami. Spadała ona wówczas na rozpostarte pod drzewem tkaniny, by nie dotknęła ziemi. Wtedy i tylko wtedy gałązki jemioli miały moc

odpędzania demonów, a napar z nich działał jako odtrutka. Zapewniała także płodność, więc pocałunki pod jemiolą to prawdopodobnie ciche echo dawnych celtyckich zwyczajów... Niezwykle zdolności przypisywano jej ze względu na to, że jest rośliną wiecznie zieloną. Celtowie obchodzili także Dzień Strzyżyka, który był dla nich symbolem zimy. W zamierzonych czasach chłopcy rzeczywiście polowali na strzyżyki, później zastąpiono żywe ptaki sztucznymi, za którymi dla zabawy biegano. Poza tym wszyscy ludzie ubierali się w kolorowe stroje i robili sporo hałasu. Innym zwyczajem, celebrowanym do dziś w Kornwalii jest Dzień Mimów 26 grudnia, oparty na zabawie i ogólnej radości, jak nietrudno się domyślić, z udziałem mimów. Inną nazwą jest „Darkie Day”, co ciężko przetłumaczyć inaczej niż „Dzień Czarnuchów”. To określenie pochodzi od zwyczaju smarowania twarzy sadzą lub noszenia ciemnych masek podczas zabaw mimów, by ukryć swoją tożsamość. Później zaczęto to kojarzyć z czarnymi niewolnikami, którzy w kornwalijskich portach zażywali tymczasowej wolności. Kultura celtycka to temat-rzeka, można mówić o tym godzinami. O Celtach z Wysp Brytyjskich, których potomkowie żyją do dziś, wiemy dużo więcej niż o Galach czy Helwetach.

Kolejną potężną i niejednorodną grupą etniczną w Europie są Germanie. Przesilenie zimowe u nich wiązało się

z wieloma różnymi obrzędami. Jednym z nich była Noc Matek, Mödraniht, którą świętowali Anglosasi, nawet gdy chrześcijaństwo zdomowało się już w Anglii. To święto było jednym z przejawów germańskiego kultu Matron. Do dziś w Upsali w Szwecji co roku, na początku lutego, odbywa się targ zwany Disting, który dawniej organizowano ze względu na mieszczącą się w Gamla Uppsala nordycką świątynię, gdzie czczono między innymi dísir, żeńskie bóstwa (m.in. Norny – „nordyckie Mojry” i Walkirie). Kolejne istotne święto to Jul. Warto zauważyć, że ta nazwa, oznaczająca pierwotnie pogańskie obrzędy, przetrwała jako „pełnoprawne” określenie Bożego Narodzenia: duńskie, norweskie i szwedzkie „jul” i islandzkie „jól” (oraz fińskie „joulu” i estońskie „jõulud”, choć to osobna historia). Jul to ogólnie pojęte świętowanie z dużą ilością alkoholu pitego kolejno ku czci Odyna „dla zwycięstwa i mocy króla”, Njörðra i Freyra „dla pomyślności przyszłych plonów i pokoju”. Upicie się podczas tej zabawy należało do obowiązków króla. Było to tak ważne święto, że nawet berserkowie odkładali na później swoją rolę. Ważną tradycją Julu było przystrajanie drzewka, przeważnie jodły. Oprócz choinki, do ozdoby używano stroików z gałązek jemioli oraz drzew i krzewów iglastych. Rośliny wiecznie zielone symbolizowały życie i trwanie. Ku czci Thora palono kłody drewna – uczta miała trwać tak długo, jak ►



Rysunek: Magdalena Molenda

25 grudnia

► drewno będzie płonąć, ale co najmniej trzy dni. Czasem świętowano nawet przez dwanaście dni, z czego można wywnioskować, że te kłody bywały naprawdę duże i jednocześnie starano się, by tliły się jak najdłużej. Warto zauważyć, że większość informacji, które obecnie mamy o Julu, pochodzą z czasów, gdy panowało już chrześcijaństwo – co, oczywiście, nie przeszkadzało królowi upijać się ku czci Odyna. Ciężko więc stwierdzić, czy zachowany do dziś zwyczaj postu w dzień przed wielką uctą pochodzi, tak jak wówczas tłumaczono, z chrześcijańskiego kodeksu postępowania, czy może też ma korzenie pogańskie.

Słowiańskie zwyczaje związane z przesileniem zimowym różniły się między sobą w zależności od regionu. Często Słowianin z zachodu nigdy nawet nie słyszał o najważniejszym rytuale Słowian ze wschodu. Na przykład Rożanica to dzisiaj jesienny festiwal, a dawniej – zimowe święto ku czci rogatej zimowej bogini-matki o tym imieniu, kiedy składano jej ofiary z miodu, mleka, sera i tym podobnych, znane tylko słowiańskim mieszkańcom wschodniej Rosji. Gdzieniegdzie umieszczano kolorowe ozdoby przedstawiające Rożanicę, a jako prezenty na szczęście dawano sobie białe ciasteczka o kształcie jeleni. Inne zimowe święto, Koroczun, odbywało się dla uczczenia śmierci i odrodzenia się Słońca. Celowo nie użyłam tu słowa „zmartwychwstanie”, ponieważ nowe Słońce było innym niż to stare. Pozostałość po tym poglądzie to zanikająca już, choć bardzo popularna jeszcze dziesięć lat temu, interpretacja Starego i Nowego Roku. Kolejny sposób na przesilenie zimowe to swojsko brzmiąca Kolęda, bardzo silnie związana ze wspomnianym Koroczunem. Wyraz „kolęda” pochodzi prawdopodobnie od łacińskiego calendae (pierwszy dzień każdego miesiąca) lub od koła. Możliwe jest też powiązanie z boginią Koliadą, która codziennie podnosi Słońce i przeprowadza je po niebie, póki nie doścignie jej Mara. Jednak Kolęda odbywała się ku czci Dadźboga, boga Słońca. Jak nietrudno się domyślić, że nawet berserkowie odkładali na później swoją rolę. Ważną tradycją Julu było przystrajanie drzewka, przeważnie jodły. Oprócz choinki, do ozdoby używano stroików z gałązek jemioli oraz drzew i krzewów iglastych. Rośliny wiecznie zielone symbolizowały życie i trwanie. Ku czci Thora palono kłody drewna – uczta miała trwać tak długo, jak ►

Święto Godowe. Słowianie zawsze przystrajali domy gałązkami, wstążkami, kolorowymi opłatkami i suszonymi owocami. Często brał w tym udział ostatni zżęty snop zboża, który (jeden i ten sam) odgrywał pewną rolę także w innych świętach sezonowych (np. z niego robiło się Marzannę). Słowiańskim zwyczajem jest też ścielenie siana lub słomy pod nakryciem. Praktycznie wszystkie obrzędy związane z przesileniem zimowym miały zapewnić pomyślność przyszłorocznych plonów i ubłagać Nowy Rok, by był przyjazny. Do tradycji noworocznych należały także obrzędy ku czci zmarłych przodków.

Każdy kraj ma nieco inną tradycję Świętego Mikołaja. Prawie wszystkie są stale wypierane przez wizerunek wykreowany przez Coca-Colę, jednak nie wszyscy mogą się czuć przez to pokrzywdzeni. Lapończycy, a właściwie Samowie, to druga grupa autochtonicznej ludności europejskiej. Lapończycy to mieszkańcy Laponii, a Samowie to jej obywatele, naród spokrewniony z Finami. Laponia to także ojczyzna Świętego Mikołaja. Grubego starszego pana w czerwonym płaszczu można spotkać w Napapiiri, wiosce na kole podbiegunowym, 8 kilometrów na północ od miasteczka Rovaniemi. Tam trafia najwięcej listów do Świętego Mikołaja. Smutna wiadomość odnośnie tej poczty: niedawno Polska spadła na czwarte miejsce pod względem liczby wysłanych listów – przegoniła nas Rumunia. Zachęcam do wysyłania listów (Santa Claus Office |FIN-96930 |Napapiiri |Rovaniemi |Finland), ponieważ pracujące dla Mikołaja elfy, fińskim zwyczajem, sprzedają koperty na makulaturę, a pieniądze w ten sposób zyskane trafiają do UNICEF. Wracając do tematu: Święty Mikołaj nie tylko mieszka w Laponii, ale jest rodowitym Samem. Juovlajohttit to „bożonarodzeniowi podróżnicy” („juovla” też pochodzi od „jul”). Pokonują oni swoją drogę po niebie w saniach ciągniętych przez renifery, ubrani na czerwono. Tylko niektórzy mogą ich zobaczyć, ale bywa to niebezpieczne. Co jednak bardziej związane z przesileniem zimowym, to zwyczaj święta Beaivi. Zasadniczo Beaivi to bogini Słońca, wiosny, płodności i zdrowia psychicznego, a jej imię znaczy także „dzień”. Jej symbol przeważnie stanowił podstawę dla konstrukcji szamańskich bębnow w kształcie elipsy. Beaivi była mocno związana z reniferem, a w przesilenie zimowe zabijano

dla niej samicę renifera oraz smarowano progi masłem, co miało zachęcić boginię do powrotu – w znacznej części Laponii wyróżnia się noc polarną. Tylko dzięki niej rośliny mogły rosnąć, a zwierzęta rozmnażać się. Poza tym, Beaivi leczyła depresję i inne dolegliwości psychiczne. Wygląda na to, że Samowie dobrze wiedzieli, do czego Słońce jest Ziemi potrzebne.

W Finlandii i Estonii, podobnie jak to było wśród narodów obchodzących Jul w pełnym tego słowa znaczeniu, od wieków panuje zwyczaj Świętecznego Pokoju, tymczasowego zawieszenia broni. Finlandia złamała ten zwyczaj tylko podczas Wojny Zimowej. W obu tych krajach panują patriotyczne tradycje i to święto jest równie rodzinne, co narodowe. Powszechny jest także zwyczaj odwiedzania grobów i wspomniania zmarłych. Wszystko to ma najprawdopodobniej korzenie przedchrześcijańskie, jednak nie wiemy wiele o stosowanych dawniej obrzędach. W fińskim pantheonie nie ma nawet boga Słońca.

Praktycznie wszystkie religie naturalne wiązały się z obrzędami ku czci Słońca podczas przesilenia zimowego. Inkowie wiązały Słońce do kamienia, by nie uciekło od Ziemi, Indianie Ameryki Północnej budzili je ze snu, Kurdowie świętowali jego zwycięstwo w bitwie przeciwko ciemności, shintości wołali boginię Słońca, by wyszła z jaskini – wyliczać można w nieskończoność. Zdecydowana większość tych obrzędów, jeśli nie wszystkie, wiązała się z zabawą i uctwowaniem, co musiało przejść do tradycji Bożego Narodzenia. Często też dawano sobie prezenty. Przesilenie zimowe zawsze napawało ludzi optymizmem, wzbudzało nadzieję i mobilizowało do zmian, dlatego przeważnie właśnie to wydarzenie wyznaczało początek nowego roku. Nawet dzisiaj wszyscy czujemy zmiany jakie niesie za sobą to zjawisko, kiedy w końcu Słońce zagląda przez okna, gdy się budzimy. Co więcej, to była ostatnia okazja do zabawy przez długi czas, bowiem już od stycznia do pierwszych plonów często cierpiano z powodu braku zapasów jedzenia, które miało skłonności do psucia się. Dawniej tylko zimą jadło się świeże mięso. Nie ma się więc co dziwić, że wszystkie narody świętowały, jak tylko się dało.

Autorka uczęszcza do XXXIII LO Dwujęzycznego im. Mikołaja Kopernika w Warszawie

Narodzenie Mesjasza, czy „tylko” przesilenie zimowe?

„I Miastu nie trzeba słońca ni księżyca, by mu świeciły, bo chwała Boga je oświećla, a jego lampą – Baranek”
Apokalipsa św. Jana 21,23

Dlaczego Boże Narodzenie obchodzimy akurat 25 grudnia? Często słyszy się, że jakieś święto wywodzi się, pochodzi z pogaństwa. W takiej odpowiedzi jest więcej lub mniej prawdy, zależnie od tego, o jakim święcie mówimy i co precyzyjnie rozumiemy przez „wywodzi się, pochodzi”. W tym tekście spojrzę na kwestię daty Bożego Narodzenia z zupełnie innej perspektywy niż Rachela.

Dzień i miesiąc narodzin Chrystusa

Współczesny chrześcijanin z niezadowoleniem może przyjąć fakt, iż nie wiemy, w jaki dzień roku narodził się Chrystus. Nie zachowały się wystarczająco dokładne informacje w żadnym ze źródeł. Ewangelisci podają dość ogólne wskazówki dotyczące okoliczności tego wydarzenia, jednak na ich podstawie nie sposób dojść do tego, kiedy narodził się Chrystus. Pierwszych chrześcijan nie interesowała historyczna (w dzisiejszym tego słowa znaczeniu) dokładna data narodzin, śmierci i innych etapów z życia Jezusa. Ważne było to, że Mesjasz umarł i zmartwychwstał, a tym samym wypełnił obietnicę zbawienia.

Różne koncepcje na datę święta

Z biegiem czasu chrześcijanie zaczęli się interesować datą narodzin Mesjasza. Nie chodziło tylko o ciekawość – trzeba było wyznaczyć miesięczną i dzienną datę święta. Wiemy już z artykułu Racheli, że oprócz grudnia na datę święta proponowano także styczeń i wiosnę. Klemens Aleksandryjski (ok. 140 r. – ok. 215 r.) pozostawił po sobie zapis o różnych propozycjach określenia daty Bożego Narodzenia, które miało przypadać na 18 lub 19 kwietnia, 29 maja lub 17 listopada. Nie wiemy – niestety – na czym opierały się te obliczenia.

Od Wielkanocy do Bożego Narodzenia

Zaczęto poszukiwać też dat symbolicznych. Przeświadczenie o tym, że wydarzenia z życia mistrza nie mogły się dziać po prostu w przypadkowych dniach, stało się podstawą zabiegów chronologicznych i doprowadziło do przyjęcia, iż Chrystus został poczęty tego samego dnia, którego umarł. Żeby wszystko było jasne, pozostawało już tylko wyznaczyć datę Męki Pańskiej, przy czym wiadome było, że miała miejsce w piątek w dniu Paschy Żydowskiej. Ewa Wipszycka proponuje dwie daty: 7 kwietnia 30 roku lub 3 kwietnia 33 roku, jednak starożytni mieli inne propozycje takie jak 21, 23, 25 marca, 9, 13, 19 kwietnia, a najpopularniejszą datą (choć jak twierdzą historycy, z pewnością błędną) był 25 marca – zapewne z powodów walorów astronomicznych, chociaż istotnym może okazać się fakt umieszczenia ofiary Abrahama (por. Rdz 22,13 – baranek zamiast Izaaka – zapowiedź Chrystusa) przez tradycję żydowską właśnie w tym dniu. „Data 25 grudnia została wyznaczona na podstawie tradycji żydowskiej, według której świat został stworzony 25 marca, w dzień równonocy wiosennej. W rocznicę tego zdarzenia, zdaniem Hipolita Rzymskiego, został poczęty Jezus z Nazaretu.”. Słuszna uwaga Racheli kończy nasze obliczenia: 25 marca – kalendarzowo tożsame daty śmierci i poczęcia Chrystusa; 25 grudnia = 25 marca + 9 miesięcy (czas ciąży).

Kosmos – Liturgia – Chrystus

Wspomniałem o „walorach astronomicznych” dnia 25 marca. Walorach istotnych dla tradycji judeochrześcijańskiej. Bo czy tylko poganie przejmowali się kalendarzem? Czyż Żydzi i Chrześcijanie – wyznawcy jednego Boga – byli obojętni na ruchy ciał niebieskich, w których Stwórca i Pana wierzyli? W żydowskim kalendarzu była masa szczególnych dni świątecznych, które miały aspekt historyczny, ale też kosmiczny, astronomiczny... Apostoł Paweł oburzony na Galatów, iż dali się przekonać tzw. judaizującym

(tzn. głoszącym, iż poganie mogą być zbawieni tylko wtedy, gdy poddadzą się obrzezaniu i żydowskim przepisom prawa) pisze: „*Zachowujecie dni, święta nowiu i lata!*” (Ga 4,10), a gdzie indziej: „*Niechaj więc nikt was nie osądza [...], bądź w sprawie święta czy nowiu, czy szabatu*” (Kol 2,16). Widzimy zatem, że ruchy ciał niebieskich były nieobojętne także Żydom.

Czyż obliczony dzień 25 grudnia nie ma pięknej symboliki ze względu na przesilenie zimowe? Od tego dnia dzień staje się coraz dłuższy, noc krótsza. Apostoł Paweł w innym kontekście pisze: „*Noc się posunęła, a przybliżył się dzień. Odrzućmy więc uczynki ciemności, a przyobleczmy się w zbroję światła!*” (Rz 13,12). Dla zrozumienia chrześcijańskiej symboliki przesilenia zimowego bardzo istotna jest biblijna symbolika kolorów. Jakże dziwić się starożytnym wyznawcom Chrystusa przywiązanych do tej daty, widząc fragmenty Pisma, tak często odnoszone do Chrystusa:

- prorok Malachiasz (Ml 13,20) – „*Słońce sprawiedliwości*”
- Ewangelista (J 1,9) – „*Światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego*”
- Starzec Symeon (Łk 2,32) – „*Światło na oświecenie narodów i chwałę Izraela*”
- On sam (J 8,12) – „*Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia*”
- prorok Izajasz (60,1-3) – „*Światło, rozjaśniające ciemności ziemi*”
- inne, np. Ef 5,14; Iz 9,1-2

„*To przecież oczywiste – myśleli zapewne ówczesni chrześcijanie – że ten dzień, w którym sama natura zwraca nasze myśli ku zwycięstwu światła nad ciemnością, należy szczególnie do Chrystusa*”¹. W ten sposób kosmos staje się prazwiastunem Chrystusa – Pana kosmosu.

Co ciekawe, dnia 24 czerwca (dzień przesilenia letniego*) przypada liturgiczne wspomnienie św. Jana Chrzciela – jego narodzin. Związek



ALEKSANDER KOŁODZIEJ

tej daty z 25 marca i 25 grudnia staje się liturgiczno-kosmicznym wyrazem słów Chrzciela: „*Potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał*” (J3,30).

„*Narodziny św. Jana przypadają na czas, kiedy dzień zaczyna się „umniejszać”; podobnie święto narodzin Jezusa oznacza nowy początek*”².

Warto wspomnieć o starożytnym chrześcijańskim zwyczaju, utrzymywanym przez wiele wieków, czyli modlitwy w kierunku wschodnim. Każdy wie, że stare kościoły budowano ołtarzem na wschód. Bynajmniej nie chodzi o Jerozolimę, ale o Wschodzące Słońce – symbol Chrystusa.

Chrześcijańskie święto a Sol Invictus

Autorem hipotezy sformułowanej w 1950r., mówiącej, iż na święto Bożego Narodzenia wybrano 25 grudnia, by schryścianizować pogańskie święto, był zapewne wybitny uczony niemiecki Franz Dölger. Dzisiaj jednak tę hipotezę się odrzuca. Kluczowym wydaje się związek między Krzyżem, a narodzinami Chrystusa. Z punktu widzenia kosmicznego sensu daty Narodzin, wyzwanie wynikające z pogańskiego kultu Słońca (o którym szeroko napisała Rachela) mogło zostać w sposób pozytywny podjęte. Starożytni wyznawcy Chrystusa uważali te daty za „ich” datę i nie obawiali się pogańskiej przeszłości tego święta.

„*Znamy przykłady, kiedy utworzenie święta chrześcijańskiego miało na celu zwalczanie religii pogańskiej, której wyznawcom odbierano okazję do organizowania świątecznych obchodów. Jednak Boże Narodzenie nie zostało umieszczone 25 grudnia z takich powodów*”³

Zobaczmy co mówili sami starożytni chrześcijanie o ich stosunku do tego święta:

• św. Augustyn:

1. „*Naszemu Słońcem sprawiedliwości jest Chrystus, Prawda. Nie chodzi o to słońce, czczone przez pogan i manichejczyków, które oglądają nawet zwierzęta, ale o to Słońce, którego prawda oświeca naturę ludzką i które raduje aniołów*”.
2. „*Cieszymy się i my bracia. Niech poganie wznoszą sobie radosne okrzyki: i tak ten dzień poświęcony jest nie przez*

widzialne słońce, lecz przez jego niewidzialnego Stwórcę”

• **Grzegorz z Nazjanzu:** „*Uczcijmy to święto nie jarmarcznie, lecz bosko, nie na sposób świecki, lecz nadziemski, nie jako nasze, lecz jako Tego, który jest nasz, a raczej jako Tego, który jest Panem; nie jako święto słabości, lecz uzdrowienia. (...) Nie rozkoszujemy się hulankami i pijatykami (Rz 13,13). (...) Zostawmy to Hellenom i helleńskiemu przepychowi i obchodom! Oni nawet bogom przypisują cieszenie się zapachem ofiar i stosownie do tego czczą bóstwo brzuchem, źli złych demonów twórcy, kapłani i czciele. My zaś, którzy czcimy Słowo – jeśli trzeba nam czymś się rozkoszować rozkoszujemy się słowami proroków i Boskiego prawa, i dziejami zbawienia, a szczególnie Ewangelią, która jest podstawą dzisiejszej uroczystości. W ten sposób nasze rozkosze będą stosowne i godne Tego, który nas wezwał na ucztę*”

• **św. Hieronim:** „*Nawet stworzenie przyznaje rację naszemu nauczaniu, kosmos świadczy o prawdzie słów naszych. Aż po ów dzień rosną dni ciemne, poczwąszy od dnia tego ciemność zmniejsza się [...]. Światłości przybywa, noc ustępuje*”

Chrześcijaństwo ogólnie a wpływy pogańskie

O stosunku wiary chrześcijańskiej do asymilacji elementów pogańskich mądrze napisał kard. J. H. Newman w dziele „*O rozwoju doktryny chrześcijańskiej*”, Warszawa 1957:

„*Czym jest człowiek między zwierzętami, tym jest Kościół pośród szkół tego świata; a jak Adam nadawał nazwy zwierzętom dokoła siebie, tak i Kościół rozglądał się z początku dokoła, przeglądając i rozpatrując doktryny, jakie zastał. Zaczął to czynić w Chaldei, potem szukał pośród Kannanitów, zstąpił do Egiptu i przeszedł stąd do Arabii, aż wreszcie zatrzymał się na własnym gruncie. Spotkał następnie kupców z Tyru, mądrość Wschodu i przepych Saby. Przeszedł także do Babilonu i zawędrował do szkół Grecji. A gdziekolwiek się zjawił, czy to wśród cierpień, czy w triumfie, wszędzie był duchem żywotnym, myślą i głosem Najwyższego, <siedząc pośród doktorów, słuchając ich*

i zadając im pytania> (Łk 2,46), zgłaszając prawo do tego, cokolwiek powiedzieli słusznego, poprawiając ich błędy, uzupełniając braki, dopełniając to, co zaczęli, rozszerzając ich przewidywania – i za pomocą tych środków stopniowo powiększając zasięg i oczyszczając treść swojej własnej nauki. (...)”

Od jak dawna? 6 stycznia?

Zwyczaj uroczystego chrześcijańskiego święcenia 25 grudnia powstał w Rzymie na przełomie III i IV wieku. Jego najstarsze świadectwo znajduje się w zbiorze dokumentów zwanym Chronografem z 354 roku, we wchodzącym w jego skład i powstałym ok. 336 roku kalendarzu liturgicznym.

Na Wschodzie dłużej zachowała się data 6 stycznia ze względu m.in. na różnice w kalendarzu. Konkurencyjna data miała dość złożoną historię. Zaakceptowano ją jako święto epifanii, czyli samo objawienia Boga, łączy się z tego powodu z różnymi sytuacjami z życia Chrystusa: pokłon magów (tzw. trzech króli), chrzest w Jordanie. Święto to miało istotny wpływ na rozwój myśli chrześcijańskiej: ujawnia powiązanie między mądrością narodów (pokłon mędrców), a obietnicą Pisma Świętego (proroctwa o narodzeniu Syna Bożego); pokazuje jak język kosmosu (symbolizowany przez tajemniczą „gwiazdę betlejemską”) i ludzkie myślenie w poszukiwaniu prawdy prowadzą do Chrystusa.

Podsumowując ten tekst, spróbuję odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule: „Narodzenie Mesjasza, czy „tylko” przesilenie zimowe?” Odpowiedź to: Narodzenie Mesjasza i „aż” przesilenie zimowe...

Źródła:

Ewa Wipszycka „BOŻE NARODZENIE: DLACZEGO ŚWIĘCIMY 25 GRUDNIA” w czasopiśmie „Mówią Wieki” grudzień 2001, str. 6-11

Jacek Salij OP „Poszukiwania w wierze” rozdział pt. „Czy Kościołowi wolno było ustanowić święta Bożego Narodzenia?”

Kard. Joseph Ratzinger „Duch Liturgii” rozdział pt. „Święty czas” wydawca: Klub Książki Katolickiej christianitas.pl książkę przełożyła Eliza Pięciul Poznań 2002

¹ Jacek Salij OP „Poszukiwania w wierze” rozdział pt. „Czy Kościołowi wolno było ustanowić święta Bożego Narodzenia?” – tekst pochodzi ze strony <http://mateusz.pl/>, gdzie książka jest dostępna w postaci elektronicznej.

² Kard. Joseph Ratzinger „Duch Liturgii”; wydawca: Klub Książki Katolickiej christianitas.pl; str. 99

³ Ewa Wipszycka „BOŻE NARODZENIE: DLACZEGO ŚWIĘCIMY 25 GRUDNIA” w czasopiśmie „Mówią Wieki”; grudzień 2001, str.10

Rzecz w ułamku o poziomach abstrakcji, w całości o niczym zgoła

Ty, patrz! On Mistrz wyciąga dłonie!



IGOR KOTRAŃSKI

Nie tak dawno temu miałem okazję podciągnąć trochę kulturalnego ducha wzwyż na dwóch sztukach następujących po sobie w kolejnych dniach. Sztukach, dodajmy, o diametralnie różnej tematyce, odmiennych sposobach oddziaływania na odbiorcę, różnych celach, ogółem – niepodobnych pod żadnym względem. Mowa tu o „Sprawie” opartej na „Samuelu Zborowskim” Słowackiego oraz „Panie Jowialskim” Fredry. Ta pierwsza to dzieło na miłą głęboką i tyleż samo wzniosłą, podobne do Wielkiej Improwizacji w fascynującym rozroście formy, ta druga natomiast to lekka, prze zabawna komedia, i trafna, i genialnie komiczna. Pobieźny opis przeżyć wewnętrznych piszącego podczas oglądania obu sztuk niniejszym następuje.

„Sprawa” w pierwszych scenach wywołuje uczucie zagubienia. Wątki, niedomówienia, nawiązania, aluzje syją się nieustannie – dwa zanalizujesz i zrozumiesz w czasie, gdy padnie tuzin. Zdaje się, że fabuły po prostu nie ma, że jeden bohater mówi „Ileż cierpień?”, drugi logicznie odpowiada „Czajnik”, że nie pada ani jedno słowo rozumiane dosłownie, słowem – że cała moc i patos sytuacji opiera się na podstawach tak wątpliwych, że w ciągu pierwszych dwóch aktów konfuzja stopniowo ustępuje zwątpieniu, zaś na początku trzeciego z hukiem wykluwa się w umyśle politowanie, którym przed narodzinami opiekowały się społem podobne opinie wyrażane podczas antraktu.

A potem następuje akt piąty. A potem człowiek opuszcza teatr i przez parę godzin rozmyśla nad tym, co zostało mu przekazane. A potem, po dłuższym czasie uświadamia sobie, że wszystko było wcale logiczne, poetyckie, interpretowalne, że starczy pomyślniku, paru godzin sam na sam z tekstem sztuki, by wszystko zrozumieć, dopasować i ułożyć, że powątpiewanie, sceptycyzm, niewiara, jakich do

świadczał na widowni nie były skutkiem przerostu formy sztuki nad jej treścią, że to jedynie brak klucza interpretacyjnego, brak wprawy w szybkiej analizie treści, rdza na niekonserwowanym kluczu kulturowym nie pozwoliła na zrozumienie – tak jednak logicznego! – przekazu. Że starczy lotnego umysłu, by zrozumieć przekaz. Innymi słowy – jest głębia. Zostaje ją dostrzec.

„Pan Jowialski”? Wspaniała rzecz. Salwy śmiechu co chwila. Wspaniale spędzony czas. Bez szczególnego wysiłku umysłowego pojąć można każdy żart, wychwycić wszystkie źródła komizmu. Dobry humor pozostaje przez resztę dnia. Lekkie, strawne, szybko przyswajalne i migiem opuszczające zadowoloną z pokarmu duszę.

Co zatem widać? Głębia porusza i zostaje w człowieku, lecz trzeba ją zrozumieć, a bardzo łatwo można ją zlekceważyć i uznać za nic niewartą. Prostota nie wymaga wiele, by ją zrozumieć, lecz spływa z ducha jak woda po kaczce. Ten wniosek w zupełności by nam wystarczył, ale jesteśmy ambitni i drążymy udręczony temat dalej.

Naturalne jest, że głębię i prostotę możemy powiązać z kulturą i filozofią, z których głębokie dzieła czerpią całymi garściami. Dodatkowo wyrażanie dzieł wzrosło wraz z rozwojem dziedzictwa kulturowego, nieustannym nadbudowywaniem nowych myśli, wzorców i wniosków korzystających z dorobku poprzednich i tworzących razem wciąż rosnący gmach. Widać w tym stały trend, pierwsze wnioski przekazywane są kolejnym pokoleniom, które poznawszy je od razu bez konieczności dochodzenia do ich samodzielnie – i przy okazji popełniania przy tym gorzkich błędów – mogą poświęcić więcej czasu formułowaniu wniosków bardziej złożonych. Ciekawe. Zboczmy na chwilę z błędnego kursu i przyjrzyjmy się naturze podobnych zjawisk.

Proces rozwoju i samokom-

plikacji jest na świecie powszechny. Przykład – życie. Środowisko i materiały niezbędne do jego rozwoju mamy – ogromne ilości atomów zapewniają budulec i miejsce bytowania, energii szczęśliwym trafem dostarczają nam prawa Wszechświata i jego słoneczne tygły, narzędzia niezbędne do utrzymania się na przekór entropii daje nam chemia. Bodźcem do samokomplikacji jest ewolucja, która akceptuje ją jako jedną z dobrych dróg. Dodatkowo jeszcze dostaliśmy skądś iskrę zapalną, czyli pierwszy organizm – skąd, nie całkiem wiadomo. Podsumowując, żeby zaszło zjawisko rozwoju, potrzebne są środowisko, bodziec – dodatnie sprzężenie zwrotne, które podtrzymywać będzie proces oraz jego źródło – coś, od czego można zacząć.

Środowiskiem kultury jest naturalnie rozum, który przydarzyło się ewolucji stworzyć i który jest już dość pojemny, by pomieścić samoświadomość i co nieco więcej. Czym mógł być pierwotny bodziec do rozwoju kultury i filozofii? Lem w „Golemie XIV” jako ich źródło podaje ewolucyjną konieczność nadania kierunku, który, o ile zwierzętom był dany instynktem, to istocie myślącej podyktowany być musiał czymś rozumowi własnemu. Stąd przyjmijmy, że źródłem rozmyślań, podstawą owego gmachu był niejako pomost między ewolucją a cywilizacją, że najlepiej poradzili sobie ci, którzy znaleźli sobie wystarczająco dobry – choćby i irracjonalny – powód. Bardzo przyziemne, ale mówimy tu póki co o jaskiniowcach. Skąd wziąć motyw rozwoju? Być może z autorytetu pokoleń. Rozwój osobniczy idzie tu w parze z rozwojem kultury – coraz bardziej złożone zapatrywania na świat formują chętnie przyswajający je umysł, który dodaje na koniec własne wnioski. Jeśli do tego nie ma rozwiniętej nauki, która mogłaby weryfikować i obalać przypuszczenia, taki proces może postępować bardzo daleko, dając ►



Rysunek: Magdalena Molenda

► początek np. systemom wierzeń.

Mamy zatem wszystko, co potrzeba do budowy gmachu – a raczej gmachów, gdyż kultur jest bez liku. Z różnych pięter lypią na nas różnego kalibru i jakości dzieła, my wspinamy się wzwyż, poszerzając kolejne piętra, a ci najwyżej przecierają szlaki. Niestety fundamenty wielu naszych gmachów zaczynają się chwiać – z czasem odkryliśmy bowiem środek „zaradczy” – naukowe postępowanie. Wyposażeni w szkiełko i oko, zaczęliśmy myszkować po Wszechświecie, wpięrow demaskując ten czy inny zabobon, później gorączkowo szukając Boga i Celu w różnych miejscach, a nie znalazłszy niczego, grzęznąć w równaniach mechaniki kwantowej zaczynamy pytać, czy kultura zbudowana

jest na czymś konkretnym? Czy prymitywny, znający tylko słowo „Dlaczego?” sceptycyzm nie jest w stanie zdmuchnąć całego naszego dorobku? Czy dwunastoletni ignorant, poznawszy siłę ustawicznej negacji, nie wytrąci każdemu myślicielowi broni z ręki?

Najbardziej bezpośrednią odpowiedzią jest – tak, owszem. Wszystkie coraz to bardziej abstrakcyjne pojęcia nie są ani pewne, ani celowe. A nasze głębia i prostota? Oba da się obalić albo niewzruszoną praktycznością („I co im z tej zabawy przyjdzie? O życie zadbać, a nie o wyższych sensach świergolić!”) albo niepokonanym nihilizmem („No tak, możemy poddać się emocjom i docenić głębię i piękno przekazu, ale i tak nic do niczego nie prowadzi”). Można,

niewątpliwie już można, gdyż każdy pogląd albo ma założenia, albo przyjmuje intuicyjne terminy za podstawę rozważań. Każdy pogląd twierdzący o własnej prawdziwości można sfalsyfikować, każdy zbiór przemyśleń można sklasyfikować jako stek bzdur, tym łatwiej, im bardziej skomplikowany. Można. Ale nie trzeba. Być może wysychają źródła ponadczasowych, ponadludzkich, niepojmowalnych zadań stawianych przed człowiekiem, lecz ewolucyjne uwarunkowanie na dążenie ku dobremu samopoczuciu ma się równie świetnie, jak przed milionami lat. A że strawa duchowa ma swój wyjątkowy smak, przeto smakujmy – i poglądów, i przekazów, i bzdur, byle z umiarem. Miłej zabawy.

Dzieje narodu polskiego

Polemiki Kmicica ze Zwolinem część druga

Kmicic

Naród, który nie szanuje swojej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

Pisząc polemikę, muszę przede wszystkim określić z kim i dlaczego polemizuję. Otóż, przeglądając inauguracyjny numer „Staszic Kuriera” natknąłem się na artykuł Maćka Zwolińskiego: „Polacy – My? Oni? Czyli właściwie kto? ”, w którym Autor przedstawia zasłyszane teorie nt. rodowodu narodu polskiego, a na ich (właściwie jej, bo głównie przedstawiona była jedna) podstawie wysnuwa daleko idące wnioski o historycznej roli Polaków, wszystko to zaprawiając przeciwstawieniem sobie trzech klas społecznych – mieszczan, chłopów („budowniczych nowej Polski”) i szlachty („innych”, których żywot zakończył się wiele lat temu). Jako osoba wychowująca się w atmosferze szacunku dla tradycji oraz historii „pańskiej Polski”, czuję się głęboko dotknięty lekceważącym tonem tego artykułu, a jako osoba interesująca się historią dziwię się tak licznym potknięciom faktograficznym i interpretacyjnym. Wszystko to sprawia, że uważam za swój obowiązek napisanie odpowiednich sprostowań oraz niejako skrzyżowanie szpady z Autorem tekstu. Wskutek narzucenia sobie takiej – polemicznej – koncepcji dziełę mą krótką pracę na 3 części podyktowane analogicznymi w pracy mojego Adwersarza: w pierwszej zajmę się uporządkowaniem pojęcia narodu i spraw związanych z jego kształtowaniem, w drugiej omówię interesujące mnie analogie tez postawionych w artykule z tezami propagandy sowieckiej oraz niemieckiej, w trzeciej zanalizuję wnioski wyciągnięte wobec narodu jako takiego.

II

Zdziwił mnie fakt, że większość tez Autora jest de facto powtórzeniem tez prowadzonej przeciwko Polsce propagandy – niemieckiej – zarówno z okresu II, jak i III Rzeszy oraz sowieckiej. Teoria o „postniewolniczym” pochodzeniu narodu polskiego świetnie koresponduje z tezami doktora Goebbelsa o tym, że Polacy stanowią wymieszanie „rasy panów” z rasami niższymi (i skazanymi na wymordowanie), że powinni być niewolnikami Niemiec, bo w istocie rzeczy od zawsze takimi byli i są do tego niejako stworzeni. Do złudzenia podobne treści są też, wysuwane głównie przez niemieckich badaczy końca XIX i I połowy XX wieku, tezy dowodzące rzekomej niższości cywilizacyjnej i kulturowej Polski wobec Niemiec (co oczywiście jest wierutną bzdurą – proszę sprawdzić np. kiedy powstawały uniwersytety w Niemczech, a kiedy powstała Akademia Krakowska). W końcu sam pomysł „przydzielania” współczesnym narodom starożytnych i prehistorycznych korzeni jest wytworem XIX – wiecznego nacjonalizmu i miał na celu nadanie większej powagi poszczególnym narodom i narodowym państwom (kolejny pomysł XIX – wieczny), a same „rodowody” niekoniecznie musiały pokry-

wać się z prawdą (tak samo absurdalny jak równość Polacy = Słowianie (i absolutnie nic więcej) jest pomysł na uznanie Francuzów za Galów króla Chlodwiga, Anglików za rzymskich Brytów czy Włochów za Rzymian – to zwyczajne pomieszanie zupełnie różnych epok).

Wszystkie te rozważania nie uwzględniają oczywiście, iż kształtowanie narodu polskiego zaczęło się, a nie skończyło, w czasach Mieszka, oraz że szlachta polska składała się nie tylko z etnicznych Polaków, lecz w dużej mierze także z Litwinów, Rusinów czy idygenowanych przybyszów z zachodniej Europy. Spora część tekstu jest wręcz zbudowana na tezach propagandy sowieckiej i wykorzystuje marksistowsko – leninowską filozofię dziejów. Filozofia ta, zwana koncepcją walki klas, nadaje się do opisania praktycznie jednego systemu – XIX wiecznego kapitalizmu angielskiego. Nie da się natomiast w ten dychotomiczny (robotnicy – posiadacze) sposób ująć historii Polski. Po pierwsze, nie można wyodrębnić jednolitej grupy „posiadaczy” – szlachta polska, w przeciwieństwie do tej w innych krajach, stanowiła nie małą (ok. 12%) odsetek społeczeństwa, a w jej obrębie wyróżnia się właściwie wszystkie kategorie ludzi – przy czym szlachcic zaściankowy, uprawiający

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy
Choć macie sami doskonalsze wzniesć
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I MIŁOŚĆ LUDZKA stoi tam na straży
I Wy winniście im cześć
Adam Asnyk

własny skrawek ziemi w słynnych rękawiczkach bez palców, był takim samym (przynajmniej z punktu widzenia prawa) szlachcicem jak pan Zamoyski. Po drugie, ewentualny „proletariat” ani nie rwał się do rewolucji, ani nie stawiał oporu „panom”, ani nie czuł się za bardzo „wyzyskiwany”. Trzeba zwrócić uwagę na przeciętny poziom intelektualny chłopów będący pokłosiem ciężkiej, fizycznej pracy (jaką jest praca na roli) bez możliwości zajęcia się czymkolwiek innym. Nie musi być to bynajmniej skutek „bezwzględного wyzysku”, ale prostej implikacji, że pracownik fizyczny bardzo rzadko zostaje inteligentem – tak też do XX wieku było z chłopem głównie oglądającym się na pana (wraz z brakiem jakiegś większej świadomości narodowej ograniczającej się w wielu wypadkach do stwierdzenia: „jestem pana Iksińskiego”), a jeżeli do czegokolwiek przekonanym to przez zapaleńców wywodzących się z XIX wiecznej inteligencji – czyli głównie przez szlachtę! Mitem są opowieści o rzekomych cierpieniach chłopów „pod batogiem krwiopijczych panów”. Nie mówię, że w ogóle nie dochodziło do żadnych ekscesów – zawsze znajdą się wariaci – ale ogólnie taki stan (relacji chłop – pan) był traktowany jako naturalny zarówno ze strony „panów”, jak i chłopów. Kto nie wierzy, ►



► niech pojedzie na Podkarpacie bądź Lubelszczyznę, by poznać z autopsji pozostałości takiej mentalności, albo poczyta chociażby kresowe reportaże Wańkowicza z tomu „Anoda – Katoda”. „Wyzwolenie” chłopów w 1863 roku¹ miało na celu wyłącznie zrujnowanie gospodarcze szlachty, a przez to wykorzenienie polskości (czyt. rusyfikację), która była podtrzymywana przede wszystkim w dworach. Podsumowując, jak więc taka chłopska „masa” mogła stanowić „czynnik postępu społecznego i gospodarczego”? Do postępu gospodarczego więcej przyczynił się XIX wieczny rozwój techniki i przemysłu, a przeciętny chłop „awansował”

dejmowane wyłącznie przez państwa zaborcze – kontrprzykładem (jednym z wielu) niech będzie książę Sanguszek, który na początku XIX wieku wyzwolił chłopów w swoich dobrach. Sprawy te były zresztą poruszone w Konstytucji 3. Maja i kościuszkowskim Uniwersale Połanieckim. Przy tym wszystkim należy pamiętać, że postulat zniesienia niewolnictwa pojawił się dopiero w Oświeceniu (wprow. USA, 1865), a postulat wyzwolenia chłopów w XIX wieku, więc przed oceną danego wydarzenia trzeba najpierw uwzględnić, kiedy miało miejsce – prawo przecież nie działa wstecz i nie można wymagać od kogoś przestrzegania tego, o czym

nawet nie mógł usłyszeć! Uderzyło mnie i parę innych chwytów do złudzenia przywodzących na myśl propagandę komunistyczną. Dla przykładu, traktowanie terenów współczesnej Polski jak zamieszanych odwiecznie przez Polaków („zajmijmy się historią mieszkańców tych ziem, na których żyjemy i uważamy za polskie oraz tego skąd przybyli i w jakim charakterze”) co koresponduje z tezami propagandy PRLowskiej o „powrocie na ziemię piastowskie” i „ziemiach odzyskanych”. Tymczasem, większość mieszkańców tych ziem nie ma aż tak starożytnej historii (plemiennosłowiańskiej), jaką mój Adwersarz wywodzi – „przybyła” bowiem z Kresów, „w charakterze” uchodźców, wskutek zagarnięcia przez ZSRR terenów siedmiu wschodnich województw polskich po II Wojnie Światowej. Zważywszy na to, że „ziemię odzyskane” opuszczali właśnie będący w niemal identycznej sytuacji Niemcy, „odzyskanie” staje się trochę wątpliwe... Mówieniu o „ziemiach odzyskanych” często towarzyszy mapa „Polski 1000 roku”, chociaż przez 200 lat granice państwa Piastów stale się zmieniały, raz sięgając Łaby i Dunaju, raz obejmując tylko Gniezno, Kraków i Mazowsze, i nie rozumiem, czemu akurat tę mapę należy uważać za wyznacznik. Podsumowując, nigdy nie istniało coś takiego jak „Polska ludowa” w opozycji do imperialistycznej „Polski pańskiej”. To znaczy, pojawiło się 2 razy – w 1920 roku i 1944, za każdym z nich jako wytwór wyobraźni propagandystów sowieckich. Polska była i jest jedna, i bili się za nią zarówno premier Wincenty Witos (chłop), Bartosz Głowacki, jak i rtm Stanisław Radziwiłł, adiutant marszałka Piłsudskiego...

cdn.

Część pierwszą polemiki mogliście przeczytać w poprzednim numerze Staszic Kuriera.

¹ Nawiasem mówiąc, to w odwołaniu do przykładu Autora (carski ukaz z okresu Powstania Styczniowego), analogiczny dekret został wydany w tym samym momencie przez powstańczy Rząd Narodowy. Inne zabory mają inną specyfikę, często jeszcze bardziej przeczącą teorii o nadrzędności walki klas, jak np. walka z germanizacją w zaborze pruskim prowadzona w zupełnej jedności przez wszystkich naraz, niezależnie od pochodzenia społecznego. Jedynym kontrprzykładem może być, inspirowana przez Austriaków, rabacja galicyjska w 1848 roku, ale ona z kolei była prowadzona nie pod sztandarami polskimi czy wyzwolenческими, ale pod hasłem „bij pana”, więc nie można jej uznać za przykład działania innego żywiołu polskiego niż ten, który znamy – chłopci ci nie uznawali się za Polaków, co najwyżej za poddanych cesarza Austrii – jednym słowem, odpada.

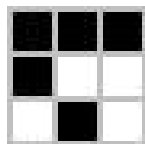
² Bo nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością – podczas Drugiej Wojny Światowej niemal każdy brał udział w podziemiu akowskim i w jakiś sposób walczył o niepodległość Polski, w 1920 roku tak samo. Nigdy nie udało się podzielić polskiego społeczeństwa, narodu, na zwalczające się frakcje i wszystkie walki wyzwolenicze (powstania XIX wieku, I wojna, wojna 1920 roku, II wojna, protesty w PRLu, sierpień ’80 i całe lata ’80) były prowadzone właśnie w imieniu tej zmyślonej przez mego Adwersarza „pańskiej Polski”, poza którą nie istnieje żadna, związana z Polską, tradycja czy kultura możliwa, by uznać za alternatywną (choć komuniści na początku próbowali coś takiego stworzyć). Nie rozumiem więc założeń sugerujących powstanie jakiegś „nowej Polski” po 1989 roku, skoro takowa nie miałaby z czego powstać! Inną sprawą jest wymordowanie większości elit polskich podczas II Wojny Światowej i wynikające z tego skutki co poruszę jeszcze w części III.

³ Słynny chłop, który podczas bitwy pod Racławicami zabił rosyjską obsługę działa, a następnie zatkał czapką panewkę, aby nie nastąpił wystrzał. Za bohaterstwo otrzymał szlachectwo i nazwisko Głowacki.

Zagrajmy w życie

Symulowanie przeróżnych zdarzeń, procesów, struktur jest nieodłączną częścią naszego życia, aż od dzieciństwa. Zaczynając od kilkuletnich dzieci bawiących się w wojnę czy kuchnię, przechodzących potem na gry strategiczne. W szkole natykamy się często na zadania na temat kont bankowych, ubezpieczeń, lokat. I to wszystko właśnie symulacje.

W matematyce symulacje poza wyżej wymienionymi mogą być prostsze, są nazywane automatami komórkowymi. Przykładem może służyć znana niektórym Gra w życie Johna Conwaya, będąca w dużym uproszczeniu symulacją życia komórek i ewolucji. Zasady są dość proste: na nieskończonej kwadratowej siatce znajdują się komórki. W każdej turze zachodzą następujące zmiany: komórki giną "z samotności" gdy spośród 8 sąsiadujących pól żywe komórki zajmują mniej niż dwie lub nie ma ich wcale. Ciasnota także nie sprzyja komórkom – giną przy liczbie sąsiadów większej niż 3. Trzech sąsiadów jest w ogóle sprzyjającą sytuacją, bo wtedy w tym miejscu rodzi się nowa komórka. Stan początkowy wyznacza drogę ewolucji, a nawet najdrobniejsza w nim zmiana całkiem zmienia jej przebieg. Symulacje Gry w życie umożliwiają m.in. darmowe programy Win-Life32 i Mirek's Celebration. Można ustalić nieco inne warunki przeżywania i powstawania komórek, a to daje niezliczoną ilość kombinacji. Na przykład kwadrat o rozmiarach 2x2 nie ewoluuje w nic innego, a taki układ:



zwany szybowcem, jest w stanie samodzielnie się poruszać. Takie figury w Grze w życie i jej odmianach nazywa się statkami.

Tutaj bardzo wyraźnie widzimy, że tak samo jak w mikroświecie, koincydencja odpowiednich warunków sprawia, że układ zaledwie kilku komór-

rek może się rozwinąć w dużo bardziej złożoną strukturę, mimo to bez stuprocentowych szans na rozwój bez końca. Wszystkie struktury, nawet najbardziej złożone, dążą do stanu, w którym zbiór komórek składa się z regularnych zbiorów: stałych, cyklicznych, statków. Obok nich można zaobserwować działa – figury, które są prawie cykliczne. Po określonej liczbie kroków układ wraca do stanu początkowego – z tą różnicą, że powstaje statek, najczęściej szybowiec. Istnieją także poruszające się działa, a nawet wielkie struktury (rzędu tysięcy komórek), które pozostawiają za sobą działa!

Możemy także ustalić automat komórkowy o jednym wymiarze przestrzennym. Badanie takowych w mniejszym stopniu wymaga użycia oprogramowania, bo łatwo da się je symulować – traktując czas jako drugi wymiar – na kartce w kratkę. Łatwiej w takim wypadku korzystać z zasad polegających na zależnościach binarnych między kratkami. Na przykład ustalmy, że przy każdym kroku każda kratka staje się lub pozostaje żywą wtedy i tylko wtedy, kiedy spośród jej samej i dwóch sąsiadujących nieparzystych liczb była żywa. Zaczynając od pojedynczej żywej komórki, otrzymamy taką piramidę:



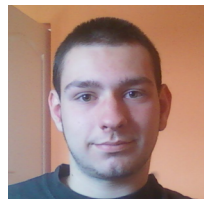
Świat automatów komórkowych nie kończy się jednak na grze w życie. W podobny sposób można symulować przepływ prądu po przewodach. Ten automat, zwany Wireworld, także operuje na kwadratowej siatce. Mamy tu jednak coś więcej, niż żywe i martwe pola. Na siatce są wytyczone przewody. Każda kratka przewodu może być pusta, albo zawierać przód lub tył impulsu (głowę lub ogon, jak kto woli). Przechodząc do następnej tury, na pustych przewodach w sąsiedztwie jednej lub dwóch "głów" pojawia się nowa. Dotychczasowe głowy przechodzą w ogony, a przewody z ogonem wracają do normalnego stanu. Z poje-

dynczym impulsem na nieskończonym prostym przewodzie nie dzieje się nic oprócz ruchu w jednym kierunku, ale odpowiednio ukształtowane przewody mogą tworzyć diody, bramki logiczne i wiele innych układów.

Mamy jeszcze coś, co zwiemy mrówką Langtona. Ten automat zaczyna swoje "życie" na pustej planszy z mrówką na jednym polu. Mrówka za każdym krokiem zmienia kolor pola, na którym stoi (z białego na czarny lub na odwrót), po czym zajmuje pole przed sobą, uprzednio jednak obróciwszy się o 90 stopni w lewo, gdy stoi na czarnym polu, lub w prawo, gdy stoi na białym. Figura, która w ten sposób powstaje, jest całkowicie nieregularna... do czasu. Po około 10 tysiącach kroków sekwencja ruchów mrówki zaczyna się zapętląć. Co sto czwarty krok jest od tego czasu kopią poprzedniego w tym cyklu, z przesunięciem o jedno pole na ukos. Sytuację po 11 000 kroków pokazuje obrazek:



Dzięki automatom komórkowym doskonale widzimy, że symulacje matematyczne nie muszą polegać na równaniach i funkcjach. Królowa nauk nie bez powodu zasługuje na to miano – w końcu rządzi tyloma problemami. Jej ukryte piękno pokazuje się nam w swojej regularności, tak jak to widać na trasie mrówki, a zarazem nie jest wciąż do końca rozpoznane. Poza tym trzeba wiedzieć, że temat automatów komórkowych jest poruszany dopiero od kilkudziesięciu lat. Wniosek? Wciąż nie wiemy wszystkiego... wróć. Możemy nie znać większości sposobów, na jakie możemy opisać świat i zachodzące zmiany.



PATRYK CHMIELEWSKI

Przy stole



ALEKSANDER KOŁODZIEJ

Wielkimi krokami zbliżają się święta narodzenia Syna Bożego. Stół jak co roku będzie się ugiął od jedzenia. Warto zadbać o to, żeby oprócz tony prezentów i jedzenia, przy świątecznym stole było dużo miłej atmosfery. Klótnie można odłożyć na później. Spójrz proszę, drogi czytelniku, na ten tekst z przymrożeniem oka. Być może poniższa wskazówka nie przyda Ci się w czasie tych świąt, lecz kto wie, czy pewnego dnia...



Umieszczone za zgodą wydawnictwa "Media Rodzina" ilustracje i tekst pochodzą z książki: "Rodzeństwo bez rywalizacji", tytuł oryginalny: "SIBLING WITHOUT RIVALRY".
Autorzy: Adele Faber i Elaine Mazlish, przełożyła: Beata Rumatowska
Wydawnictwo: Media Rodzina

Zdrowych, ciętych, spokojnych
i przede wszystkim - rodzinnych
Świąt Bożego Narodzenia

Su^Q
od Vionca

zapy
Redakcja Staszic Kuriera!

7	3			9	8	2		
9				4			7	
						3		
8			9		5	4	6	
2				3				7
	4	3	1		7			2
		7						
	6			1				4
		2	3	7			8	6

5	9		2		4			
7			1			6		5
	3							
		3	6		2	5	8	
8								4
	1	7	4		8	9		
							2	
1		5			3			6
			7		1		5	8

Rysunek na okładce: Anna Bujak

Staszic
Kurier
Redakcja

Redaktorzy naczelni

Jakub Mrozek

Marian Wiatr

DTP

Michał Radek

Korektor

Kacper Bryśkiewicz

Barbara Mroczek

Dominik Plewa

Michał Radek

Redaktorzy

Patryk Czajka

Patryk Chmielewski

Mateusz Dziurzyński

Igor Kotrański

Barbara Łazeba

Aleksandra Sosnowska

Martyna Stysło

Michał Wiąckowski

Dorota Wiśniewska

Grafika

Anna Bujak

Mateusz Dziurzyński

Magdalena Molenda

Michał Radek

staszic kurier